

Dusza kapłana

Świadectwo nawróconego księdza

Leo Lehmann



Oglądałem rzymski katolicyzm w akcji aż na trzech kontynentach. Niejeden raz wraz kardynałami w ich luksusowych limuzynach mijałem wyprężoną Gwardię Szwajcarską przejeżdżając przez Bramę Damasceńską ku prywatnym apartamentom papieskim. Widziałem umierającego papieża, byłem świadkiem jego pochówku oraz wyboru i ingresu następcy. Stałem u boku przyszłego papieża Piusa XI, gdy ówczesny papież Benedykt XV mianował go kardynałem, kładąc mu na głowie płaską jak naleśnik czapeczkę. Podtrzymywałem wtedy długi purpurowy tren nowego kardynała. Pełniłem posługę kapłana nie tylko w przepysznych katedrach Europy, ale i w holenderskich gospodarstwach na rozległych przestrzeniach afrykańskich sawann i w walących się chatach florydzkich ostępów.

Dom

Urodziłem się w 1895 roku w Dublinie. Nie mam przyjemnych wspomnień z dzieciństwa – pamiętam tylko nieustanny strach. Strach towarzyszył każdemu aktowi religijnemu, jaki wiązał się z księdzem, spowiedzią, uczęszczaniem na niedzielną mszę, niejedzeniem mięsa w post i „suche dni”, piekłem, niebem, czyścim, śmiercią i sądem rozgniewanego Boga.

W klasie, w kościele, w domu – Biblia była księgą niedostępną. Brakowało pieniędzy, by kupić wersję katolicką, zwykle o dość słonej cenie, a nie mieliśmy odwagi przyjąć darmowej Biblii od pewnego towarzystwa protestanckiego. O moim wyborze kapłaństwa zadecydował w głównej mierze właśnie strach, jaki napawał mnie wobec wszystkiego, co wiązało się z religią rzymskokatolicką. Ubiegałem się o przyjęcie do szkoły misjonarskiej Mungret koło Limerick, i przyjęto mnie.

Rzym

Już na studiach seminaryjnych w Rzymie nawiedziły mnie pierwsze wątpliwości i niepewność co do papieskiej wersji chrześcijaństwa. Zastanawiałem się na przykład: Jeśli Rzym jest jedynym ośrodkiem prawdziwej wiary, dlaczego obywatele tejże prawdziwej religii prezentują tak niski poziom? Skąd tyle ateizmu, nieprzyzwoitości, bezprawia? Rzymskie pospólstwo nie miało dla nas krzty szacunku; gdy przechodziliśmy ulicą, obelgami obrzucały nas nawet rzymskie dzieci. Poza tym dlaczego tak gromko zachęcało się księży irlandzkich i innych do wyjazdu na misje do Chin, Indii i Afryki w roli propagandzistów papieżstwa, skoro tu, w Rzymie, aż roiło się od tysięcy księży snujących się leniwie po watykańskich biurach i z najwyższym trudem znajdujących wśród 400 rzymskich kościołów jakiś wolny ołtarz, aby odprawić mszę.

Zapytywałem też siebie, czemu szumną liczbę 300 milionów katolików świata ma w Rzymie reprezentować grono kardynałów, z których prawie dwie trzecie to Włosi. 40 milionów Włochów było katolikami tylko z nazwy, a nie z serca. Tymczasem na przykład 20 milionów amerykańskich katolików nie tylko wiernie uczęszczało na mszę, ale i zasilalo okazałymi sumami watykańskie skarbcie. Wśród kardynałów znalazło się jednak tylko trzech Amerykanów, ludzi miernego pokroju, acz lojalnych wobec Rzymu, nigdy nie wazących się na podważanie jego wyroków. Dane mi było poznać intrygi rzymskiego duchowieństwa zmierzające do zaskarżenia sobie łask osób wpływowych w Watykanie, widziałem łaknienie papieskich honorów i wysokich stanowisk; spostrzegliśmy wśród najwyższych dostojników kościelnych zawzięcie zwalczające się frakcje. Codziennie natrafiałem na rozliczne przejawy chciwości i ambicji wojowniczych papieży oraz ich niegodziwej polityki. Widziałem Zamek Świętego Anioła, czyli Mauzoleum Hadriana, z murami noszącymi ślady pocisków jednego papieża, zamkniętego w swej watykańskiej twierdzy, ostrzeliwującego drugiego papieża, kpiącego sobie z jego klątw.

Nadszedł dzień święceń. Była to wyjątkowo długa ceremonia – nie mogłem wyjść z podziwu nad mnogością czynności, jakie nade mną wykonywano, modlitw, śpiewów. Konsekrowano palce, by mogły odprawiać mszę, i owinięto je gęstym płótnem lnianym; namaszczone głowę i też owinięto ją w lniane bandaż. Dotknąłem pierwszy raz złotego kielicha, otrzymałem obowiązek słuchania spowiedzi i

odpuszczania grzechów, namaszczania chorych i grzebania zmarłych. Pierwszy raz skosztowałem wina z kielicha mszalnego, które wedle wiary katolickiej zostało dzięki formule konsekracji przeistoczone w krew Chrystusa. Święceń udzielił mi kardynał Basilio Pompiljo w bazylice św. Jana na Lateranie.

Radość, której doznałem tego dnia, przyćmił jednak pewien przykry wypadek, którego stałem się świadkiem wieczorem. Jeden z moich towarzyszy doznał zaburzeń umysłowych. Napięcie wywołane mechaniczną rutyną, mnóstwo mniejszych i większych ograniczeń, powtarzanie niezliczoną ilość razy modlitw i formuł często prowadzi do zachwiania równowagi umysłowej, doprowadzając do pewnego typu obłądu na podłożu religijnym, określanego mianem „wąskiego sumienia”.

Pamiętam inny podobny incydent. Podczas pełnienia posługi kapłańskiej na Florydzie odwiedzałem od czasu do czasu ośrodki dla dzieci opóźnionych w rozwoju w Gainesville. Pewnego razu ordynator przyprowadził do mnie 14-letnią dziewczynkę, której zaburzenie psychiczne polegało na gorączkowym powtarzaniu i liczeniu „Zdrowaś Maryjo”. Jej umysł był kompletnie pochłonięty myślą, że musi tę modlitwę odmawiać po sto razy codziennie, lecz aby upewnić się, że zdąży je wypowiedzieć, miała już na koncie ponad tysiąc dodatkowych rund. Najwidoczniej jakiś ksiądz zadał jej odmawianie tych „Zdrowasiek” przy spowiedzi jako pokutę.

Po 3,5-letnim okresie posługi w Afryce Południowej zostałem wezwany do Rzymu, do pracy w Watykanie. Z biegiem czasu dręczyło mnie coraz więcej wątpliwości co do genezy instytucji papieżstwa. Wątpliwości co do chrześcijańskiego charakteru praktyki katolickiej, drobniągowa znajomość brudnych szczegółów życia moich kolegów kapłanów i nienadzieja na szansę poprawy kościoła pod władzą papieża już wcześniej budziły we mnie dojmujący niepokój. Z duchowego, doktrynalnego, prawnego i osobistego punktu widzenia z dnia na dzień kruszyła się we mnie wizja rzymskiego papieżstwa jako wyznaczonego przez Boga stróża chrześcijaństwa. Stałem wobec gorzkiej prawdy: iż chcąc zachować swą wiarę chrześcijańską, muszę z tym całkowicie zerwać.

Ameryka

Z Rzymu przeniesiono mnie do Ameryki. Jako obcy w nowym otoczeniu, pomyślałem, że przed zupełnym rozczarowaniem zdoła uchronić mnie oddanie się pokornej pracy na rzecz duchowych potrzeb prostych ludzi.

Smak porażki zilustruję przykładem. Pewnego dnia musiałem spełnić nadzwyczaj smutne zadanie: towarzyszyć młodemu człowiekowi skazanemu na śmierć na krześle elektrycznym. Było to we Florydzkim Więzieniu Stanowym w Raiford, na terenie mojej parafii. Chłopak pochodził ze wschodu Stanów Zjednoczonych, urodził się i wychował w rodzinie katolickiej, uczęszczał też do katolickiej szkoły. W młodości nauczono go wszystkich praktyk rzymskokatolickich uważanych za niezbędne do pobożnego życia. Sąd w Tampie skazał go za współudział w zabójstwie pierwszego stopnia, kiedy to podczas napadu na restaurację zginął jej właściciel. Uczyniłem, co mogłem, aby przygotować go na „ostatnią drogę”. Udzieliłem mu wszystkiego, co w takich przypadkach zaleca kościół katolicki, a dzięki czemu do potrzebującej duszy ma się wlać Boża łaska i siła. Już gdy leżał bezwładny i martwy w chwilę po tym, gdy przez krzesło przepłynął śmiercionośny prąd, namaściłem jego czoło olejem, jak należy to czynić podczas udzielania sakramentu „ostatniego namaszczenia”. Mimo to zdawałem sobie sprawę, że nie zdołałem grzesznej, udręczonej duszy biedaka dać prawdziwego pocieszenia.

Odwiedziłem go w celi śmierci w ostatnim tygodniu przedśmiertnej agonii i wielokrotnie żegnałem znakiem krzyża na odpuszczenie grzechów. Ostatniego ranka zjawiłem się u bram więzienia wczesnym świtem z całym zestawem ciężkich paramentów liturgicznych potrzebnych do odprawienia mszy. Postawiłem je na stole koło podwójnej kraty jego celi. Włożyłem lśniące szaty liturgiczne i z całą godnością, na jaką tylko pozwoliła groza sąsiedztwa celi potępionych, rozpocząłem „ofiarę” mszy. Biedny chłopak, przerażony, chodził po celi tam i z powrotem paląc jednego papierosa za drugim. Odrzucił papierosa, aby przyjąć do ust opłatek komunii świętej, który podałem mu przez kraty. Nic to nie pomogło. Uspokoił go nieco dopiero zastrzyk morfiny, zaaplikowany przez lekarza na dziesięć minut przed egzekucją. Olśniło mnie: jeden zastrzyk sprawił chłopakowi większą ulgę niż wszystkie udzielone przeze mnie sakramenty, które mają przecież dawać ukojenie i ciału, i duszy. Poszliśmy na miejsce egzekucji.

Gdy prąd przeszedł ciało chłopca, wyrzucając je gwałtownie w górę i trzymając tak naprężone i sztywne, moja ręka poruszała się z góry na dół w znakach krzyża, a usta szeptały ciągle łacińską formułę rozgrzeszenia, tak jakbym i ja mógł przesyć jego odchodzącą duszę prądem przebaczącej łaski.

Gdy prąd ustał, a ciało opadło bezwładnie, podszedłem tam z naczynkiem oleju w dłoni. Poprosiłem strażnika, aby zdjął z głowy chłopca żelazne nakrycie, i olejem używanym do ostatniego namaszczenia posmarowałem czoło, jeszcze mokre od śmiertelnego potu. Ponieważ nie przybył nikt z krewnych, poprosiłem o wydanie mi ciała i pochowałem je w katolickiej części cmentarza ściśle wedle obrządku – mimo że zaprotestowali niektórzy pobożni parafianie, nie chcąc, by w sąsiedztwie ich bliskich spoczywał skazany morderca. Przypomniałem im, że i Jezus Chrystus umierał pomiędzy dwoma łotrami.

Muszę jednak wyznać, że mimo iż moje konsekrowane palce jak najstaranniej wykonały te podobno pełne mocy sakramenty święte, czułem, iż zawiodłem nieszczęśnika w jego najstraszliwszej godzinie. Była to właściwie w pełni moja wina, tak naprawdę nie miałem mu bowiem co dać, wszystko to było jałowe i sztuczne. A jednak musiałem wysłuchiwać wyrazów uznania od wiernych, którzy chwalili mnie za wypełnienie prawdziwie kapłańskiej misji wobec biednego skazańca.

Wszystkie te rytualne manewry teologowie katolicy wymyślili po to, aby zilustrować swoją podstawową naukę: iż zbawienie można zyskać tylko dzięki „uczynom dokonywanym” przez kapłana. Łaska zbawienia jest według doktryny katolickiej czymś, co wlewa się w ludzkie dusze poprzez specjalnie zaprojektowane „przewody” siedmiu sakramentów.

Te zaś pełnią rolę „kanałów” wychodzących ze zbiornika łaski, na który wyłączny monopol ma rzymski papież. Na takiej to inżynierii zewnętrznych nierzeczywistości – mającej swą magiczną siłą wywołać duchowy skutek – opiera się cały system teologii katolickiej. Czynności kapłańskich dłoni muszą być uznane w wymiarze zarówno wiary jak organizacji i praktyki. Ale nie takiej przecież natury jest moc królestwa niebieskiego. Paweł apostoł ogłasza prawdziwą moc Ewangelii: „Albowiem nie wstydzę się za Ewangieliję Chrystusową, ponieważ jest mocą Bożą ku zbawieniu każdemu wierzącemu, Żydowi najprzód, potem i

Greczynowi. Bo sprawiedliwość Boża w niej bywa objawiona z wiary w wiarę, jako napisano: Że sprawiedliwy z wiary żyć będzie" (Rz 1,16-17).

Za Jezusem

Pozbawiony ludzkiej pociechy i zrozumienia, samotnie podążałem trudną ścieżką, która wiodła mnie coraz dalej od kościoła mego dzieciństwa i od kapłaństwa. Jedyнным mym towarzyszem i przewodnikiem był Jezus Chrystus. Jakże słusznie uchwyciłem się Jego wyciągniętej dłoni i podążyłem za Nim.

Kiedy oderwałem się od Rzymu, Pan Jezus objawił mi się jako mój Zbawiciel – poprzez lekturę Słowa Bożego. Ujrzałem, jak liczne są błędy rzymskiego katolicyzmu. Od chwały kapłaństwa runąłem w dół, na kolana, aby wyznać, że jak wszyscy ludzie jestem grzesznikiem, potrzebującym wybawienia przez Pana Jezusa Chrystusa.

Na ścieżce, która wiodła mnie coraz dalej od Rzymu, spotykałem takich, którzy co tchu biegli w odwrotną stronę, inni zaś, już w jego szeregach, głośno opiewali jego fałszywą chwałę. Spoglądali ku temu, od czego ja się odwróciłem; system religijny, który rozczarował mnie nie tylko jako jego członka, ale i pracownika, stawał się lub już się stał ich iluzją. Z ulgą zdawałem sobie sprawę, iż to, co w ich oczach wygląda na tchórzliwą ucieczkę, dla mnie jest zwycięstwem. Nie zahałem się ani chwili, mimo świadomości, że gdy oni zostaną okrzyknięci przez wszechwładną propagandę Rzymu bohaterami wiary, ja będę musiał cierpieć z ich rąk prześladowania i szyderstwa.

W odróżnieniu od kardynała Newmana, Chestertona i innych moje nawrócenie nie było ucieczką przed domem wariatów, ale dążeniem do duchowej trzeźwości. Balansując między obszarem elokwentnych spekulacji rzymskiego dogmatyzmu a sferą liberalizmu religijnego znalazłem rzeczywistość Chrystusa. Nie miałem już wątpliwości, czemu Chrystus jasno potępił wszelkie systemy kościelne w rodzaju rzymskiego papieża, obnażając judaistyczny „kościół” tamtych czasów.

Dla mnie różnica między kościołem papieża a tym, co bez cienia litości ośmieszył Chrystus, tkwiła tylko w nazwie. Była to przecież organizacja pontyfikalnych arcykapłanów, pełnych przepychu dostojników o szerokich filakteriach, organizacja krótkowzrocznych uczonych w Piśmie i

pobielanych faryzeuszów, był to „kościół”, który „[wiązał] ciężary wielkie i nie do uniesienia i [kładał] je ludziom na ramiona”, który ustalał wiele przepisów dotyczących postów i zewnętrznych obmyć, wedle którego grzechem było spożycie mięsa w pewne dni, lecz który mało uwagi poświęcał brudowi, jaki codziennie wychodzi z ludzkiego serca. A gdyby nie dane mi było naśladować Chrystusa w Jego głośnym, bezlitosnym potępieniu takiego kościoła, to wiedziałem, że i tak będę jedno z Nim w moim cichym proteście, porzucając mój urząd kapłański.

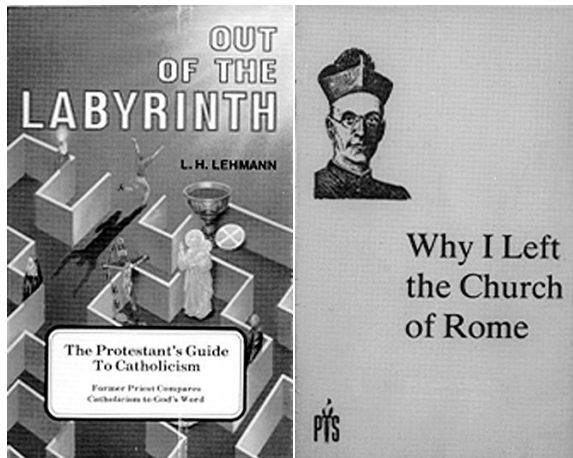
Nad odstrasżające „warunki zbawienia” arogancko ustalone przez papieżstwo stawiam słodczy prostego zaproszenia wypowiedzianego przez Jezusa Chrystusa, a zapisanego w Ewangelii Mateusza 11,28-30: „Pójdźcie do mnie wszyscy, którzyście spracowani i obciążeni, a Ja wam sprawię odpocznienie; Weźmijcie jarzmo moje na się, a uczcie się ode mnie, że Ja cichy i pokornego serca; a znajdziecie odpocznienie duszom waszym; Albowiem jarzmo moje wdzięczne jest, a brzemie moje lekkie jest.”

„A toć jest poselstwo, któreśmy słyszeli od niego i zwiastujemy wam: Iż Bóg jest światłość, a żadnej ciemności w nim nie masz. Jeźlibyśmy rzekli, iż społeczność mamy z nim, a w ciemności chodzimy, kłamiemy, a nie czynimy prawdy. A jeżeli w światłości chodzimy, jako on jest w światłości, społeczność mamy między sobą, a krew Jezusa Chrystusa, Syna jego, oczyszcza nas od wszelkiego grzechu” (1J 1,5-7).

Leo Lehmann, nawrócony ksiądz

W 1931 roku Leo Lehmann wystąpił z Kościoła rzymskokatolickiego. Po nawróceniu przez wiele lat współpracował z organizacją „Christ’s Mission” w Nowym Jorku, dzięki której wielu księży rzymskokatolickich mogło odnaleźć prawdę i wolność w Jezusie Chrystusie. Czasopismo tej misji nosiło tytuł „The Converted Catholic” [Nawrócony katolik] i było w znacznym stopniu kształtowane przez Leo Lehmanną.

2 publikacje Leo Lehmana zatytułowane „Out of the Labyrinth” („Z labiryntu”) i „Why I left the Church of Rome” („Dlaczego opuściłem Kościół rzymski”)



(Przekład całego świadectwa: Aleksandra Czwojdrak i Meciej Wierszyłowski. Opublikowane w książce „Daleko od Rzymu...” (Bennett/Buckingham), Warszawa 2004. Tekst w załączniku został przetłumaczony z języka niemieckiego za pomocą DeepL.com (wersja darmowa).

Wykorzystano polskie tłumaczenie Biblii zatytułowane „Biblia Gdańska (1881)”.